Nro 5.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 29 stycznia 1848. Rok dziewiąty.

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincii chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyzszych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincii można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem redakcii Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcia ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosii prenumerata składa się na pocztach.

MODY.

Z Paryża, dnia 18 stycznia 1848.

Stroje damskie. Dziś w świecie całym najwięcej mówią o Abd-el-Kaderze, toteż i kolor materii tę nazwę przybrał. Opiszemy zatem szlafroczek pekinowy niebieski, zwany Abd-el-Kader; stanik gładki, wysoko zachodzący i u dołu zaokrąglony; rękawy gładkie, z mankietami, obszyte koronką czarną; spodnica gładka, ubrana wraz z stanikiem z przodu we dwa rzędy czarną wstążką miernej szerokości; wstążka ta jest na czarnem dnie, przerabiana białym lub innemi jasnemi kolorami. Kapelusz obszyty aksamitem i ubrany piórem z boku; płaszcz Kleopatry, albo jaki inny od wyjścia. Drugi ubior jest tak zwanej kasztelanki, sukni najmodniejszej teraz, której krój wraz z opisaniem naszym czytelnikom dołączamy.

Suknia zwana kasztelanka jest dziś najmodniejsza, przypomina nam krój i kształt dawniejszych gorsetów, jednakowo gorsety zawsze są potrzebne, tylko wdziawszy suknię tę na gorset, możnaby przyrównać ciało do pięknego drzewa, a suknię tę do kory. Jedno jak drugie niezbędne jest dla złożenia pięknej całości. Suknia ta tem się różni od sukień z gładkiemi i wysoko zachodzącemi stanikami, iż tamte nie zakrywały biodra, krój ten przeciwnie zachodzi na biodra; spodnica tej sukni ułożona w wielkie fałdy koło stanu. Jeżeli ta suknia ma być balową, wtenczas dają bardzo maleńkie rękawki, z których znowu spadają wielkie bardzo szerokie, otwarte, przypominające jeszcze modę czternastego i piętnastego wieku; robią je tiulowe, blondynowe, tarlatanowe lub z jakiej przeźroczystej materii jedwabnej jasnych kolorów, obszyte koronką złotą lub srebrną, wenecką lub alensońską. Ten sam rodzaj sukni może być od wyjścia; wtenczas będzie stanik zupełnie pod szyję spięty z przodu, lub oznaczony tylko guzikami z przodu: rękawy będą gładkie, spodnica nakształt amazonki.

Stroje męskie. Zjawiły się teraz bardzo ładne opończe. Te, które tu opisujemy, mają wstawkę pod pachą; plecy i przodki jednakowej szerokości. Obszyte na około taśmą; rękawy proste, z jednego kawałka, z szwem pod pachą; kapiszon może być z jednego lub dwoch kawałków zrobiony. Strojem wieczornym jest dzisiaj w eleganckim świecie surdut i pantalony czarne, obcisłe koło nóg. Kamizelka szafirowa w kraty, nakształt szalu, zachodząca trochę na piersi. Na surdut jest orzechowy kolor najmodniejszy. Stan długi i szeroki, z połami krótkiemi, rękawy wolne, u dołu zaokrąglone, bez wyłogów. Koszula haftowana na zakładkach, krawata biała.

Rycina przedstawia: Ubior balowy: Suknia biała, z podwójną spodnicą, podpięta po bokach wstążką zwiniętą w łańcuch; stanik kończasty, ubrany *à la grècque*, i spięty trzema szpilkami w drogie kamienie oprawne; rękawki króciutkie, nakształt epoletów, z pod których dwie bufki wyglądają koronką wąską obszyte. Na głowie wieniec z kwiatów. Druga suknia jedwabna, paliowego koloru, z przodu ubrana szarfą koronkową, podpinana kwiatami. Narzutka biała, haftowana wkoło kolorami i obszyta frędzlą różową. Na głowie wieniec z kwiatów.

Figura męska przedstawia: Opończę, któreśmy wyżej opisali, sznurami wyszywaną, z kapiszonem. Pod opończą frak czarny, spięty, we dwa rzędy guzików, pantalony w kraty.

Na dołączonym rysunku do dzisiejszego numeru są następujące kroje: Fig. 1. 6. 7. 8. i 9. przedstawia krój opończy. Fig. 2. 3. i 10. maskę. Fig. 4. i 5. pantalony fałdowane do maski. Fig. 11. 12. 13. i 14. krój stanika, od sukni zwanej kasztelanką, o którym powyżej było wspomniano.

SZPICRUT HONOROWY.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ DRUGA.

Odwet.

I.

Stryj naszego Kazimirza Bilczyńskiego, byłto człowiek nietyle stary, ile schorowany, znudzony i tak szczególnie osłabiony na nerwach, iż go każde uderzenie silniejsze przestraszało, każde nagłe otworzenie drzwi przerażało, a każde głośniejsze ozwanie się wzbudzało mu w twarzy i w oku mianowicie, jakieś drganie mimowolne. Zdawało się prawdziwie, że co chwila się czegoś obawia i lęka; jakby drugi Damokles onego nad głową na włosku zawieszonego oręża. Ta drażliwa bojaźliwość, dobrze uosobiona w postaci ostrego miecza wiecznie schylonemu czołu grożącego, jestto tem okropniejsza słabość, że najczęściej bywa ona słabością moralną. W niej zwykle mieści się cała życia tajemnica, dramatyczny ów węzeł ze wszystkich zdarzeń życia zaplątany, zagadkowy dla wszystkich, a tem straszniejszy dla cierpiącego, że go sam dotknąć się boi, i żadnej przyjacielskiej ręce rozwiązanie onego powierzyć nie śmie. I w samotni dnia, bo taki człowiek zwykle ucieka przed ludźmi, i w ciszy nocnej, bo taki człowiek rzadko sypia, nie przestaje mu łyszczyć straszny oręż; a po jego polerowanej powierzchni, jakby po zaczarowanem źwierciedle, przemykają jego tylko makbetowemu oku widziane Banquo'we duchy przeszłości. Scena po scenie, blado, nieruchomie, ale żywo i prawdziwie przesuwają mu się wszystkie przeszłe wydarzenia, na których widok drzy, trętwieje, ale głosu wydać nie śmie, by nim poruszony włosek tajemnicy i tak ciągle próbowany ciekawością ludzką, nie urwał się, a oręż nie spadł mu na głowę, odkryciem tego, co go szarpie tajemne, a zabiłoby może odkryte. Za młodu przy większych duszy i ciała siłach, łatwiej jest znieść takie cierpienia tajone i łatwiej je utaić; bo silne jeszcze nerwy nie znają drgającej gry przestrachu, a czoło dumnie wzniesione drwić się zdaje ze wszystkich wiszących nad niem niebezpieczeństw; ale na starość staje się ta choroba nieuleczona i głowa coraz niżej się słania, jak owe głowy żołnierzy przed strzałami nieprzyjaciela w mimowolny chylące się ukłon.

Rozpisałem się szerzej nad stanem moralnym stryja, już i dla tego, że to przecie stryjaszek naszego bohatyra, a najwięcej dla tego, że te jego cierpienia jakkolwiek tajone, jakkolwiek zasłaniane przed ludźmi samotnością, do której coraz więcej uciekał, wzbudzały to jedno współczucie, jakiego w cierpieniu każdem pewni być możemy, współczucie próżnej i obojętnej ciekawości. Jakoż powszechnie łamano sobie głowy nad tą zagadką jego stanu cierpiącego. Bo i nie stary jeszcze, i odkąd ludzie pamiętają, nie chorował nigdy, a zbudowany silnie i kościsto; a więc zdrów być powinien. A że wiedziano doskonale, że ma grube pieniądze, piękną posadę, znaczenie i u swoich i jak sobie szeptano, w górze nawet, więc powinien być szczęśliwy! A przecież mimo tych warunków zdrowia i szczęścia tak jasnych dla ogółu jak słońce, przyznawano powszechnie że nie jest zdrów i nie jest szczęśliwy. Dla ciekawości ludzkiej tej nigdy niesytej pijawki, prawdziwej pijawki lubiącej nad wszystko ssący swój pyszczek zaczepiać o części najwięcej cierpiące, najwięcej bolące, byłato zagadka nad zagadki!... A więc próbowano wszystkich środków w takim razie używanych, by się czegoś dowiedzieć. Z tych środków najdzielniejszym bywa domniemywanie, które choć nie odkryje, ale domyślając się rzeczy niestworzonych, ten ma prym przed innemi środkami, że może sobie z domysłów tylu wybrać, nie najpodobniejszy do prawdy, bo o to rzecz wcale nie idzie, ale najlepiej dogadzający ciekawości, rozmiłowanej zwykle w samych potwornościach. Tu zrobię uwagę, która niekoniecznie do rzeczy należy, ale które za skarby świata nie odrzuci powieściarz rad epizodowi zwiększającemu książkę, i rad uwadze, którą ma oczywiście za nową, bo jest jego uwaga — że najgłupszy człowiek, byle tylko ciekawości ostrogą był pobudzony, jest zdolen utworzyć takie domysły szczególne, dramatyczne, iżby te, gdyby jeno powstać mogły w głowie powieściarza, dałyby mu treść do niejednej diable fantastycznej powieści. I kto wie, czy to nie ta najolbrzymiejsza ciekawość, olbrzymiej stolicy Francuzów właściwa, połączona z gadatliwością Francuzom także właściwą, roznoszącą po ulicach i kawiarniach swe bezgraniczne domysły, nie jest właściwym twórcą tego bogactwa fantazii, rozlanego po powieściach francuskich, fantazii, na której zaprawdę nasze powieści kuleją niepomału.

Owoż ciekawość śledząca tajemnic stryjaszka, zaglądała i w przyszłość jego, ale i z tej wycieczki nic pewnego wyprowadzić nie mogła. Przypominano sobie bowiem, że dawniej, gdy był młodszym jeszcze, stryjaszek żył w większem i szerszem kółku, w którym rad był przewodził; jakoż w rzeczy samej przewodził potrochę rozległością swych wiadomości; był on bowiem uczony, w całem najuroczystszem tego słowa znaczeniu. Miał wielki księgozbiór, liczący po większej części same olbrzymie folialy, które oczywiście mieszczą najwięcej uczoności; i wszystkim było wiadomo, jak rad brodził po tym smętarzu dawnych rozumów, wielkich, nieśmiertelnych, ale martwych. Ażali z tych wszystkich ksiąg wyprowadził idee jakie zdrowe i prawdziwe, tego ogół ciekawy nie wiedział; to tylko przypominał sobie, że mąż ten głęboko uczony wywie-

rał wielki wpływ zdaniami swemi na otaczających go a licznych gościach domowych i czcicielach. Co on powiedział, było święte, i tem nieomylniejsze, że słowa własnych zdań popierał uczonemi cytatami. Główną częścią jego nauki były dzieje. Czy zaś zdania społeczne, jakie sobie wyrobił na posadzie swych studiów historycznych, były proste czy krzywe, o tem nie umiał sobie zdać sprawy ogół, rozumiejący to tylko swym prostym rozumem, że kto ma uczoność, to ma i rozum zdrowy i rozsądek niekrzywy; a czy może mieć przytem dobrą lub złą wiarę, o tem ledwie setny ma jakie pojęcie.

Tu byłoby zapewne najprzyzwoiciej, by powieściarz, który wie wszystko i zagląda we wszystkie najtajemniejsze myśli i chęci ludzkich zakątki, wytłumaczywszy się jasno i wyraźnie, wyświecił tę zagadkę i odkrył czy ze starych pargaminów i ksiąg stryjaszek naszego byhatyra wyciągnął zdrowe ziarno pożytku, czyli zjadliwego grzyba łatwo wyrastającego na zbutwiałych zabytkach przeszłości. Ale powieściarz tym razem słowa swoje w mistyczną przybierając szatę, tyle tylko powiedzieć może, ile zresztą sama ciekawość ogółu z przeszłości jego wyprowadzić zdołała: że zdania historyczne, które popierał, miały wielki rozgłos i wielkie stronnictwo, którego on był wyrocznią i duszą prawdziwą. Lecz nagle się zmienił, nie w zdaniach swoich, bo te jeszcze tem uporczywiej i z rozpaczliwą wytrwałością głosił, ile razy mu się to trafiło, ale w trybie życia. Jak mówiliśmy zetryczał, posmutniał i coraz więcej usuwał się od towarzystwa dawnych swoich przyjacioł i stronników.

Nic więc ciekawi z przeszłości jego dobyć nie potrafili, coby im odkryć mogło powody takiej przemiany; a co gorzej, nic podobno nigdy nie odkryją; bo do szczególności jego chorowitego i nerwowego stanu należało, że jak mówić tak też i pisać nie lubił. Jakby się bał, by jakikolwiek ślad pisany jego myśli tajemnych nie pozostał, rzadko kiedy sam co pisał i to chyba w sprawach koniecznych, potocznych; a co dzień prawie, czyli raczej w nocy, bo mu w nocy było jakoś najswobodniej, przebiegał niespokojny wszystkie swego pomieszkania zwyczajne schowki, i co tylko gdzie zdybał pisane, palił bez litości. Nieraz gdy przechodzący widząc w oknach jego gorejące światło, mniemali, że pracuje nad uczonem dziełem jakiem — on przeciwnie niszczył wszystkie dawnych prac swych zabytki. Blady, pożółkły od cierpień co go trawiły, przeglądał okiem niespokojnem dawne ulubione swe dzieła uczone. Z głośnym szelestem latały karta po karcie tych starych foliałów, lecz on ich nie czytał, szukał jeno owych wszystkich notatek ręką własną pisanych, które tu i owdzie w starych tych księgach pozostawił, celem złożenia onych kiedyś przy swobodniejszej chwili w całości swoich badań historycznych. I gdy natrafił na taką notatkę drobnem pismem napisaną, która go może nieraz niejeden tydzień pracy i ślęczenia kosztowała, drgający nerwowy uśmiech przeleciał przez twarz jego. Była w nim i radość i żal razem. I porwał ją w drzące ręce, ani spojrzał nań nawet, jakby się bał, by litość nad własną pracą nie zmieniła srogiego wyroku, jaki wydał na nie — i szybkim ruchem rzucał ją za drugiemi w płonący kominek. A potem z dziwnym, niezrozumianym wyrazem jakiegoś bolu wewnętrznego przez długie chwile patrzał, jak je płomień ogarnął i gasł powoli aż do ostatniej tlejącej gwiazdki na zpopielałym papierze, której zniknieniu towarzyszyły zawsze ciężkie piersi niemej westchnienia.

Lecz domyślna ciekawość ludzka, nierozbrojona jego życiem samotnem, spokojnem, nikomu w drogę niewchodzącem, nie mogła przestać na niczem. Musiała gwałtem jeżeli nie domyślić się to przynajmniej wymyślić. I wymyśliła, i rada złośliwemu odgadnieniu, za pewnik przyjęła, że cały ten jego stan chorowity jest niczem innem, jeno zgryzotą sumienia. Jestto dla złośliwej ciekawości ludzkiej domysł najłatwiejszy i najmilszy, bo zawiera w sobie cały skarbiec najdziwaczniejszych domniemywań.

I chociaż właśnie, jakby na zbicie zarzutu skąpstwa, jakie mu zawsze czyniono, od onej chwili swojego od ludzi odosobnienia, zaczął hojną dłonią sypać jałmużny pomiędzy ubogich, którzy w pewne dnie tłumnie zbiegali się do drzwi jego pomieszkania, i znaczniejsze nawet rozdawał dary, od czasu do czasu z licznemi pochwałami głoszone po pismach publicznych — nie rozbroiło to przecież złośliwych domysłów, i owszem, ciekawi ludzie, co to wszystko wiedzą, kładli tę przemianę jego usposobienia i całą dobroczynność jego na karb sumienia obudzonego.

W onejto także chwili zwiększających się jego cierpień nerwowych, powołał do siebie synowca, oznajmując mu pismem swojem, że chcąc mu całe swoje przekazać mienie, radby go mieć przy sobie, przez tych kilka chwil, które mu wzmagająca się słabość żyć jeszcze dozwoli.

Dobrze już pod noc przyjechał nasz bohatyr do stolicy i wszedł do pomieszkania stryjowskiego. Smutne jakieś uczucie ścisnęło mu serce; większą onego połowę stanowiło zapewne wspomnienie smutnych chwil rozstania się z miejscem rodzinnem, z matką, a mianowicie z kochanką, która siadającemu już na konia szepnęła zcicha: „Zemsta, zemsta tylko mój Kazimirzu połączyć nas może.“

Ale prócz tego samo pomieszkanie stryjaszka musiało smutne zrobić wrażenie na młodzieńcu przyzwyczajonym do ojczystych rozległych łanów. Pomieszkanie to było sklepione i ciemne; duszne w niem było powietrze, przypominające nieco sklepienia grobowe, tym wyziewem stęchłym nagromadzonych w miejscu wilgotnem starych ksiąg, które od dawnych lat żaden

powiew świeżego powietrza przez wiecznie zamknięte okna nie dosiągnął.

I znalazł się nasz bohatyr w wielkim obszernym pokoju, z którego wszystkich kątów wyszczerzały się ciemne i wielkie szafy książkami napełnione, po których nierówne i fantastyczne cienie rzucało skąpe światło od godziny nieobjaśnionej świecy i tlejące iskry gasnącego komina. Obejrzał się wokoło pan Kazimirz; nie było nikogo w wielkim pokoju, a przecież powiedziano mu, że tam jest stryj jego. Wytężył oczy — ciemno i pusto. I zaszeleściało papierem, głuchem echem rozbiegło się po pokoju, a od jednej ze ścian, z cienia szafy jednej, oderwał się nowy, jakby cień jaki, i cichym pomknął ku niemu krokiem. Ledwie nie krzyknął nasz bohatyr z przestrachu: stryj jego stał przed nim. Grobowa bladość była na jego twarzy, okropnie jeszcze odbijająca od całej czarnej szaty, obwiewającej jego potężną niegdyś, dziś schyloną postać. I z początku nic nie dostrzegł pan Kazimirz, prócz tej bladości na czarnem tle w kształt głowy zarysowanej. Bo stryj miał łysą głowę w dół spuszczoną. I podniósł ją przez chwilę do góry; rysy twarzy były wielkie, mocno odznaczone, piękne zapewne przed laty wyrazem dobitnym siły i potęgi, która martwa już dzisiaj, jakby trup olbrzyma wyszczerzała się dotąd z wyniosłego, żyłami sterczącego czoła, z ogromnych zmarszczek od oczów ku ustom pociągniętych, i z tych wielkich sterczących kości na twarzy, które ledwie już pokrywała skóra pargaminowej żółtości. Dla patrzącego z boku ciekawym widokiem byłoby jednakże szczególne podobieństwo rysów stryja i synowca, starca i młodzieńca, których twarze rozróżniał jeno wyraz życia i martwoty.

Przez chwilę tylko spojrzał stryj na synowca okiem martwem także, którego wzrok badawczy prawdziwym ciężarem martwoty spadł na naszego bohatyra; to też pan Kazimirz mimowolnie w tej chwili westchnął i przypomniał sobie nie matkę, nie kochankę, ale prawdziwy roztrzepaniec młody, wspomniał sobie w tej chwili, jakby to było miło i swobodnie bujać sobie teraz na kucyku swoim po stepie podolskim, pod gwiazdami wyiskrzonem niebem. I długą chwilę trwało, zanim przyszedł o tyle do siebie, by zrozumieć całe położenie swoje, a przez cały ten czas, ołowiany wzrok stryjowski ciężył na nim, a nawet szerokie usta starca jeszcze się szerzej rozciągnęły, jakby do uśmiechu szyderczego. Starzec drwił sobie z pomieszania młodzieńca i rad był z niego, wszak to szyderstwo odpłacało mu przykre uczucie na widok młodości, nadziei, które już przeszły bez wieści dla niego, na widok dziedzica, który mu w tej chwili nie pokrewieństwo bliskie, ale śmierć bliską przypominał.

Ocknął się pan Kazimirz, który zaprawdę do nerwowych marzycieli nie należał, wstrząsł się tylko, jakby po chwilowym dreszczu, które pojawienie przesąd wiejski nazywa zajrzeniem śmierci w oczy, i przystąpił do stryja z tą rubaszną niewymuszonością, właściwą naszej wiejskiej szlachcie, która rzadko straci minę tej tęgości, którą niepomału się szczycić lubi. I ledwie nie splunął w sufit pan Kazimirz, jak mu się to nieraz zdarzało uczynić w nadmiarze młodzieńczej siły i tęgości szlacheckiej i butnej, tylekroć doświadczanej w onych wiejskich zdybaniach tak zwanej drobnej szlachty. Lecz się przecie opamiętał i schylił czoło na przywitanie i usta przycisnął z uszanowaniem do ręki stryjowskiej.

Stryj wszystkie te ruchy młodzieńca śledził z uwagą, jakby z nich chciał odgadnąć całe jego usposobienie, i usta jego przeciągnęły się więcej jeszcze do uśmiechu szyderczego.

— „Jak się aspan masz?“ przemówił nareszcie do niego głosem równie bez dźwięku, jak twarz była bez wyrazu, a oczy bez blasku.

To aspan obraziło zaprawdę naszego bohatyra, w którym zadrgały na tę nazwę pogardliwą wszystkie żyłki szlacheckie; ale cóż było robić? Od bogatego stryja trzeba było przyjąć wszystko; odpowiedział więc z rezonem i odkrząknieniem tak silnem, aż cała twarz stryjowska zadrgała konwulsyjnie.

— „Zdrów na usługi stryja dobrodzieja.“

— „Widać, widać po mowie aspana tak głośnej, jakbyś był na prażniku.“

— „Moja matka przesyła stryjowi dobrodziejowi uszanowanie swoje“ przemówił nasz bohatyr, przymuszając nie bez trudności szerokie piersi swoje do cichszego głosu.

— „Zdrowa także! o wiem... wiem, wy tam wszyscy na wsi wiecznie zdrowi, o niczem nie myślicie, niczem się nie gryziecie....“

— „I owszem moja matka bardzo była zgryziona dowiedziawszy się, że zdrowie nie służy stryjaszkowi.“

— „Toteż pocieszyła się jak najprędzej, i co żywo wysłała synka, by mi oczy zamknął.“

Skonfundowany nasz Kazimirz zamilkł zupełnie, bo mu usta zamykała zarówno duma szlachecka jak i dobre serce bohatyrowi naszemu właściwe.

— „Cóż nieprawda?.... he?....“

Po niemałej chwili zdobył się nareszcie pan Kazimirz na odpowiedź, którą mu podszeptała duma szlachecka.

— „Niech stryj dobrodziej wierzy, żeśmy o tem nie myśleli.“

— „Nie myśleliście o stryju“ zaszydził starzec.

— „Nie.... przeciwnie.... ale....“

— „Ale myśleliście o bogatem dziedzictwie?“

Tu już krew szlachecka pana Kazimirza aż mu zapiekła w uszy poczerwienione od gniewu.

— „Chciej stryj wierzyć, że takich brudnych myśli ani matka moja, ani ja nie mieliśmy.... chwała bogu mamy mająteczek obywatelski....“

— „Licha dzierżawa, lichego przysiołka... to nazywasz mająteczkiem obywatelskim.... mój ty dumny paniczu; jak widzę, masz się za prawdziwego szlachcica polskiego.“

— „A jużciż!“ odpowiedział nasz bohatyr raczej naiwnie niżeli dumnie.

Rozśmiał się starzec suchym kaszlem raczej niżeli śmiechem wesołym. I nastała chwila milczenia, które by przerwać, niemało namysłu i myśli mózgowej użył biedny Kazimirz.

— „Chwała bogu, stryj dobrodziej nie jest tak bardzo chory; i owszem jak uważam wygląda... dobrze... czerstwo.... zdrowo....“

— „Tak!“ głośniej niż zwykle zawołał starzec „za zdrowo może! zdrowiej może niż mniemaliście tam z matką twoją.... Aspan jak uważam wdałci się zupełnie w matkę, która nigdy zapomnieć nie może, że ma tam jakiś rodowity herb w spnściznie po gołych i dumnych rodzicach. Aspan masz wszystkie wady dumnego, gołego i fałszywego szlachcica polskiego... widzisz mnie schorowanego i umierającego, i chcesz mi fałszywie pochlebić dobrem wyglądaniem, jak gdybym ja nie wiedział, że jestem stary, zgrzybiały, umierający, i żeś aspan tylko po moje dziedzictwo przybył... Duma, ambicia, próżność, chciwość a zdrada i fałsz w gładkiej mowie, to wasz grzech pierworodny, mój ty szlachcicu, który chcesz drwić ze mnie, pogardzać mną, a przyjechałeś po moje złoto, które cenisz jedynie....“

Nasz bohatyr zgłupiał na te słowa tak doskonale, że słowa nie umiał wyrzec, usta tylko roztworzył — do westchnienia podobno za swoją wioską i życiem wiejskiem swobodnem.

— „Aspan już nie pamiętasz, żeś synem twego ojca!“ mówił dalej starzec z zapałem niezwykłym sobie.

— „Nie stryju! pamięć ojca jest mi droga!....“

— „Kłamiesz jak prawdziwy szlachcic! twój ojciec nie był szlachcicem polskim.“

— „Jakto!“ zawołał donośnie pan Kazimirz, nie zważając na drgania nerwowe na twarzy stryja.

— „Twój ojciec był rusinem, tak jak ja... rozumiesz aspan?“

Pan Kazimirz głupiał coraz więcej, nie rozumiejąc ni trochę ani zapału stryjowskiego, ani tej całej rozmowy heraldycznej, która go nieprzygotowanego zdybała na samym wstępie. Mimoto burzyła się coraz więcej młoda krew naszego bohatyra, który jak zwykle szlachta na wsi, bardzo wiele przykładał wagi do swego herbu szlacheckiego. Odrzekł więc z pewną dumną powagą, która trącała poniekąd o śmieszność:

— „Cóż z tego? ale był przez to szlachcicem polskim, mam na to dowody.“

— „I uparty widzę aspan jesteś.... Twój ojciec był rusinem... czy rozumiesz?... i nic więcej... Patrzaj, widzisz tu te wszystkie książki, które przez całe życie gromadziłem z największą troskliwością, z nich badałem całą przeszłość dziejową.... gdybym był nie poniszczył wszystkich notat moich, jakie przez trzydzieści lat zbierałem, byłbym cię zaraz przekonał. Ale czytaj sam, wszak nie na to przyjechałeś do mnie, byś próżnował. Czytaj i ucz się sam, a przekonasz się, że świętą prawdę mówię.... Tak.... tak! mój dumny paniczu.... twój ojciec był rusinem.... rozumiesz!.... i ty jesteś rusinem nie polskim szlachcicem.“

I porwał synowca zdumionego za rękę i poprowadził go szybkim krokiem popod ściany swojego pokoju, i pokazywał mu szafę po szafie, a w nich palcem wskazywał książki bez liku.

— „Tu się wszystkiego nauczysz i tu się przekonasz.“

Nagle przy ostatniej szafie zatrzymał się i pokazał mu drzwi.

— „Te drzwi prowadzą do pokoju dla ciebie przeznaczonego; w nim będziesz mieszkać i pracować.... a poźniej...“

I wyciągnął znowu rękę i wskazał na drugą stronę drzwi, koło których stał wielki kufer żelazny o łóżko oparty.

— „Jak umrę, co niedługo nastąpi, ten kufer będzie twój i twoje będzie użycie... rozumiesz młokosie... użycie pełne.... Ale ucz się pierwej.... czytaj.... gdybym nie był poniszczył prac moich, łatwiejby ci to przyszło... ale z czasem, dobrze, bardzo dobrze zrobiłem... na co miałeś przystępować uprzedzony do nauki, która sama ci odkryje, że moje zdania są prawdziwe. I owszem szczęśliwy, spokojny, zdrów będę, gdy zdrowym, młodym, niepokalanym umysłem to zbadasz i to odkryjesz, co ja zbadałem gwałtem.... przymusem.... bo....“

I osłabł biedny starzec i powalił się prawie zemdlały na żelazną skrzynię; lecz ledwie się jej dotknął, zerwał się z siłą młodzieńczą prawie, i wypychając synowca za drzwi, drżącym, konwulsyjnym krzyknął za nim głosem:

— „Tak! ty mnie sam po latach nauki powiesz, że moje zdania nie były fałszywe, urojone, wznowione, ale prawdziwe.... Idź! idź mój synowcze.... i pamiętaj, żeś ty rusinem nie szlachcicem polskim.“

Biedny Kazimirz zmęczony drogą, zmęczony słowy stryjowskiemi, nic po prawdzie z nich nie zrozumiawszy, zasnął szczęśliwie, a szczęśliwiej się jeszcze obudził, bo z postanowieniem żywem uczenia się, poruszonem może po raz pierwszy przez upor szepcący mu w ucho, że wypada mu przekonać zawziętego stryja o prawach jego do szlachectwa.

Byłato zapewne lekka pobudka i samaby nie wystarczyła, gdyby się nie zebrały pomału inne powody. Szczęściem pierwsze znajomości w stolicy zrobione były dobre; poznał się bowiem z kilku młodymi ludźmi, którzy się nauce i literaturze poświęcali. Byłby on mo-

że nie trafił na nich, gdyby lepsze okoliczności finansowe pozwoliły mu były przyłączyć się do herbowych wiercipiętów, których było pełno w stolicy. Ale stryjaszek otworzył mu wszystkie zamki do szaf, prócz zamku do żelaznej skrzyni. Niemałą także pobudką do nauki stały mu się nudy w domu stryjowskim, urozmaicone zrzadka rozmową ze stryjem, który prócz tej nieszczęśliwej słabości nerwowej, gdy wpadł w zapał, przyjemnie bardzo rozpowiadał dzieje przeszłości, coraz obszerniej i czarowniej roztwierające się przed okiem naszego młodzieńca.

I wziął się nieżartem do nauki pan Kazimirz, czytał z początku leniwie, urywano, poźniej czytał coraz więcej; wzmagał się w nim zapał i zbudziły się siły umysłowe, które były w nim, jak są w wielu naszych szlacheckich próżniakach, uspione, nieużyte.

Po kilku już miesiącach pan Kazimirz zamknięty w pokoju swoim, pobladł mocno, ale twarz jego zawsze piękna, dziwnie wyszlachetniała. Zmniejszyła się hyra włosów na głowie, ale zato myśl osiadła na szerokiem czole.

I tak minęło dwa lata; ani wiedział pan Kazimirz jak mu prędko przebiegły te dwa lata bez konia, charta, bez jarmarku. I wiele się nauczył przez te dwa lata, wiele przeczytał bowiem, a jeszcze więcej może przemyślał, przedumał i przemarzył. Marijka pisywała do niego rzadko, ale pisywała listy pełne czułości; wszak te listy były jedyną biednej Marijki pociechą. Ledwie bowiem poznał ją pan Kazimirz, który dwa razy przez te dwa lata w rodzinne odjeżdżał strony, gdy ją po raz pierwszy ujrzał w znajomej wiosce, w znajomej ulicy pożyczkowej, przy znajomej starej gruszy, w znajomym ogródku księdza krzewinieckiego. Marijka była zawsze piękna, bo piękność jej rysów regularnych wiek jeszcze skrzywić nie mógł, a myśl wewnętrzna dotknąć nie śmiała. Ale świeżość młodzieńcza, świeżość aksamitna kwiatu, co z pączka wyrasta, znikła już na zawsze. I jej twarz wyszlachetniała uczuciem wyższem, które osiadało na czole i spoglądało z niego poważnie, uroczyście, ale zimno i złowrogo. Na jego czole jaśniało pojednanie, na jej czole łyskała zemsta.

A gdy się żegnali kochankowie, ona mu rzekła głosem, w którym odzywała się echem spiewu dawna miękkość i pieszczotliwość:

— „Kocham, kocham ciebie jednego i nigdy kochać nie przestanę, ale nienawidzę, nienawidzę wielu i nienawidzić nie przestanę, póki się nie zemszczę.“

A gdy te słowa wyrzekła, łzy się zakręciły w oku Kazimirza na widok spojrzenia Marijki, które nie w niebo wzniesione, nie w ziemię spuszczone, ale przed siebie daleko wytężone miało w sobie połyski jakby obłąkania.

Stary stryj naszego bohatyra słabnął codzień, głowa coraz niżej spadała mu na piersi. Jak cień, jak duch, przemykał się pomiędzy szafy, z których książek mnóstwo przeniosło się do pokoju Kazimirza. Czasem tylko westchnienie jękliwe, śmiech przeciągnięty kurczowy dowodziły, że to nie cień, nie duch, ale człowiek szybkim krokiem zbliżający się do grobu.

I był znowu wieczór, wiatr jesienny tłukł o szyby pokoju, w którym siedział Kazimirz nad sporą księgą. I wiatr zawył przeraźliwiej, jakby złowrogim głosem północy, tej godziny duchów, która właśnie z ratuszowego zegara swych dwanaście wydzwoniła uderzeń i jakby duch stanął starzec blady, z siną drzącą wargą i okiem wpół już stężałem, martwem, przed stolikiem synowca. I wyrzekł z ciężkością głosem przerywanym:

— „Dwa lata minęło.... czytałeś, pracowałeś, uczyłeś się wiele, i cóż mój synowcze... prawdę mówiłem.“

— „Tak jest stryju!“

— „A więc jesteś rusinem?“

— „Jestem rusinem.“

— „Nie jesteś szlachcicem polskim?“

— „Nie mój stryju, tyś się mylił — ja jestem szlachcicem polskim.“

— „Nie! nie!“ wyjęknął starzec z natężeniem; twarz, oczy, usta i wszystkie stare zmarszczki zadrgały okropnie. I zamilkł starzec, bo mu zarazem i słów, i myśli, i tchu, i życia brakło.

Upadł starzec nerwowym paraliżem tknięty.

Wielka, bardzo wielka była spuścizna, jaką dostał nasz bohatyr po stryju. Prócz bowiem znacznych kapitalów, gdy otwarto żelazną skrzynię, znaleziono ją pełną — rubli i półimperiałów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

AKT I.

Wojewodzanki sędomirskiej,

dramatu historycznego w 5 aktach,

Karola Szajnochy.

(Ciąg dalszy.)

OCHMISTRZYNI *(odchodząc za wojewodzanką)*
Macież więc! Ha, już niema porady tej głowie!

Sta. SANOCKI.
Jakże, panie starosto! z grą Dymitra, kto wie,
Co się stanie; lecz nasza, ponoś już przegrana!

(Wchodzi dworzanin z listem)

DWORZANIN.
Czołem, czołem waszmościom! Czy znajdę tu pana
Starostę Sanockiego?

Sta. SANOCKI.
Coż tam Waszę powie?

DWORZANIN.
Listy.

Sta. SANOCKI *(żywo)*
Zkądże? Z Krakowa?

DWORZANIN *(potakując oddaje listy)*

Sta. SANOCKI.
A daj wam Bóg zdrowie!
Tak prędko? Dobra wróżba! Rozgośćże się Waszę;
Nie żałuj dworu!

DWORZANIN.
Czołem! *(odchodzi z ukłonem)*

Sta. UŚWIACKI.
(do siebie, przechadzając się zadumany, podczas gdy Sta. Sanocki list czyta)
Otożto te nasze
Rycerki od kądzieli! Wszystkie takie — serce
Jałowy step, w wieczystej wichrowej roztercze
Z mózgiem, co jak ta bańka na wodzie, rozdęty,
Wichr wionie, bańka pęknie, a nakształt pękniętej
Bańki, i cały żywot marnie pryska w szczęty.

Sta. SANOCKI *(po przeczytaniu)*
Szumne wieści!

(Nadchodzą PP. Dworzecki, Skarbnik Hromyka i Podczaszy)

P. DWORZECKI.
(usłyszawszy ostatnie słowa, pyta się Sty. Sanockiego)
Z Krakowa?
Sta. SANOCKI *(wesoło)*
Tak.
SKARBNIK *(niechętnie)*
Coż za wiadomość?
Sta. SANOCKI.
Monsignor Nunciusz wspiera; dwór—nasz; król Jegomość
Przychylny. Senatory coś wprawdzie ociętni,
Ale zato biskupi krzącą się tem chętniej;
Sam król też, chociaż jeszcze wojny wszczynać nie chce,
Przecież także nie broni, jeżeli kto zechce
Własną jąć się pomocą....
PODCZASZY *(kiwając niechętnie głową)*
Ho, własną pomocą!!
(Tymczasem weszli PP. Nieborski, Ratomski, Zadzik, Chorąży, Cześnik; w końcu Trębosz i Wojski.)
(Zszedłszy się, stawają PP. Dworzecki, Nieborski, Zadzik, Hromyka, Trębosz w jednem, a Skarbnik, Podczaszy, Chorąży, Cześnik, Wojski w drugiem gronie, i tak też ustawicznie się grupują)
P. DWORZECKI *(do nowoprzybyłych z radością)*
Słyszeliście panowie?!
RATOMSKI.
Więc niema już po co
Dłużej czekać: Wojewoda wesprze!
PP. ZADZIK Z HROMYKĄ.
Wojewoda!
PP. NIEBORSKI Z DWORZECKIM.
Razem z księciem Konstantym.
P. HROMYKA.
I szlachta dłoń poda!
P. ZADZIK.
A senatorom fryka!
P. SKARBNIK *(z przeciwnego grona)*
Co fryka, to fryka!!
Ale niech też i szlachta po pijanu nie bryka!
P. PODCZASZY *(powtarzając)*
Ho, ho! Własną pomocą!....
P. WOJSKI.
Toćto na lód boso!
CHORĄŻY.
Królowi Jegomości dobrze szlachcie radzić!....
CZEŚNIK *(kończąc)*
By ją potem samemu na lodzie osadzić!
WOJSKI.
Boć to nam tylko cudze wciąż oganiać proso,
Aż nas tam....
RATOMSKI *(patrząc w głąb)*
Wojewoda!
(Wchodzi Wojewoda Sędomirski, prowadząc z sobą Dymitra, w stroju pielgrzymim. Za nimi książę Konstanty Wiśniowiecki, Sta. Sanocki i pan Fredro)
WOJEWODA.
No, coż tam panowie!
Jakażto nowa zgoda czy niezgoda w głowie!
PP. DWORZECKI I NIEBORSKI
Na Moskwę Wojewodo!
PP. RATOMSKI I ZADZIK *(do księcia Wiśniow.)*
Hej, na Moskwę książę!
PP. HROMYKA I TRĘBOSZ
(do Dymitra, który w ciągu całej sceny pokorny, milczący tylko kłania i z boku się przysłuchuje)
A ty kniaziu myśl w górę! Szlachta dopomoże!
WOJEWODA
(do Sty: Sanockiego, który tymczasem z ks. Wiśniowieckim i panem Fredrem pilnie rozmawiał)
Coż tam? Jakieś nowiny?

Sta. SANOCKI.
Oto przed chwil kilką
Przyszły listy z Krakowa; jest tu i do ciebie
Jeden ojcze.
(Oddaje list Wojewodzie, który usuwa się na stronę i czyta. Sta. Sanocki wraca nazad do księcia i pana Fredra. Szlachta podzielona na dwie grupy zcicha rozprawia)
Ks. WIŚNIOWIECKI.
Jak z płatka wszystko! Obyż tylko
Bóg wojewodzie chęci skłonił k'tej potrzebie!
P. FREDRO.
Szlachta wprawdzie coś sporzy, lecz to rzecz nienowa,
A tylko rękę ścisnąć, to rogi pochowa,
I kędy tylko zechcem, wyruszy za nami.
Ks. WIŚNIOWIECKI.
A nietylko to Łascy i Potoccy sami
Będą tam po Wołoszy i po Siedmiogrodzie
Bratanków swoich wodzić!
(usuwają się nieco ku głębi w rozmowie. Tymczasem szlachta ku przodowi się posuwa)
RATOMSKI
(wskazując na Wojewodę przeglądającego papiery)
Patrzcie jak wojewodzie
Czoło chmurą zachodzi.
PODCZASZY *(z przeciwnej strony)*
Jakoż i jest czego,
Bo czyż z tych wypraw pańskich nie dość jeszcze złego!
WOJSKI.
A kniaź Dymitr z Wiśniowca, dawnoż jak w Stambule
Na haku pokutować musiał za Wołoszę!
CZEŚNIK.
A pan Kanclerz Zamojski, że o swej szkatule
Wojsko wiódł na Wołoszę, więcby już potroszę
W króla grał!
SKARBNIK.
Ho, boż oni wszyscy już za króle
Chcieliby się przed szlachtą mieć!
P. FREDRO
(wychodzi naprzód i miesza się w rozmowę, jakby chcąc pojednać)
Toć mniejsza o to!
Wszak i szlachcie korona nie wielką dziwotą!
P. TRĘBOSZ.
Zwłaszcza mieczem zdobyta!
RATOMSKI.
Więc miecze nam, miecze
Ostrzyć bracia na Moskwę!
CHORĄŻY.
(wskazując na wojewodę, który przeczytawszy składa papiery)
Cyt! zważcie co rzecze
Wojewoda.
WOJEWODA *(naprzód wychodząc)*
Nie zbyt mądre wieści! Król sam nie chce
Wojny z Moskwą, a przecież drugich do niej łechce,
Jakby mówił: Nie bronię, kto chce niech się spiecze!
Lecz Moskwa nie Wołosza, a wojować z carem,
Nie dworskich sług, nie pocztów prywatnych zamiarem!
Jeśli Borys jest zdrajcą, za nic z nim przymierze,
Więc sam król się Dymitra winien ująć szczerze,
I wraz z sejmem dać Moskwie wojnę narodową.
Inaczej za nic wszystko!
(zbliża się do ks. Wiśniowieck.)
CZEŚNIK.
Otoż mądre słowo!
Nic prywatą!
PODCZASZY.
Prywata na szwank to narazi!

WOJEWODA.

Piszą wprawdzie że król tu kogoś do nas wyśle,
Co nam bliżej chęć jego k'temu wyobrazi,
Lecz sąto tylko próżne przewłoki jak myślę.

Sta. SANOCKI (*zcicha do Wojewody*)

Tymczasem szkoda złotej opuszczać okazii.

Ks. WIŚNIOWIECKI (*podobnież*)

Niech wojwoda ostatniej nie daje sentencii.

(*Sta. Sanocki i Ks. Wiśniowiecki biorą Wojewodę na stronę i gorliwie tam z nim rozmawiają*)

WOJSKI

(*do swoich towarzyszy, wskazując na ks Wiśniowieckiego, który z Wojewodą, Stą. Sanockim i P. Fredrem coraz głębiej się usuwają*)

Patrzcie, jak tam książęca mitra teścia nęci!

SKARBNIK.

Ej, boteż chytra sztuka!

CHORĄŻY.

Toż i rada — zdrada!

RATOMSKI (*z przeciwnej strony*)

Ho, ktož na mitrę gada! Czy przeto zła rada,
Że nam do korda radzi, a ktoś tchórz mospanie!

CHORĄŻY.

Tchórz nie tchórz, byle wiatrem nie podszywać zdanie!

CZEŚNIK.

Jużci, jużci szaleństwem takie porywanie
Szlachty z pięścią na Moskwę.

SKARBNIK.

Zwłaszcza kiedy w domu
Dość roboty dla szlachty, ochronić się sromu,
Jakim grożą krajowi królewskie praktyki!

DWORZECKI (*z przeciwnej strony*)

Oho, to krakowskiego wojwody języki!

WOJSKI.

Gorsze od tych języków dworskie zauszniki!

NIEBORSKI.

Niema tu zauszników, prócz tych co za ucho
Kordem wezmą!

P. ZADZIK.

Tak wy to, wy Zebrzydowczyki
Wszystkiemu złemu winni!

P. HROMYKA.

Lecz wam to na sucho
Nie ujdzie, nie!

(*Śród tych pogróżek obu przeciwnych stron wchodzi bocznemi drzwiami Maryna z tacą w ręku, w towarzystwie kilku braciszków zakonu OO. Trynitarzy, i chce przemówić, lecz uniesiona swarem szlachta, nie postrzega jej i zagłusza mówiącą*)

SKARBNIK (*odpowiadając p. Hromyce*)

I choćby dziś jeszcze się zmierzyć!

PODCZASZY.

I tę dworską czeredę własną skąpać juchą!

MARYNA.

Panowie!

P. TRĘBOSZ (*nie słysząc Maryny*)

Wprzód wam samym krzyżem przyjdzie leżyć!

(*Wszczyna się coraz większa wrzawa, wśród której następująca na siebie szlachta ku rozmawiającym w głębi Wojewodzie, Ks. Wiśniowieckiemu, Ście. Sanockiemu i P. Fredrowi się ciśnie, i miejsce Marynie otwiera*)

WOJEWODA (*zastępując szlachcie*).

Czyż panowie na siebie chcecie tu uderzyć!
Panowie bracia! zgoda! Wszakto nie na zjeździe
Publicznym, lecz w gościnie, u brata jesteście!

(*postrzegając Marynę z braciszkami*)

A tam jacyś wielebni naprożno w tym gwarze
Głosu proszą....

(*Szlachta obraca się, i postrzegłszy Wojewodę z księżami, cofa się z ukłonami*)

(*Ciąg dalszy nastąpi*)

Wychowanie domowe.

W pismie poświęconem głównie kobietom, powinnoby zawsze wszystko to się mieścić, co bliżej kobiety, jej zatrudnień domowych, jej przeznaczenia dotyczy. Osobliwie zaś o wychowaniu domowem, tem głównem zajęciu kobiety mowa być powinna. Żądamy od społeczności przeobrażenia, czujemy mocno tę potrzebę przeobrażania się, a gdzież, jeźli nie w wychowaniu domowem powinien być położony fundament tego otrząsania się z zasad, z żywiołów, które już wszelką żywotność straciły, a nabywania zasad dzisiaj nam potrzebnych, żywiołów mających nam przyszłość zapewnić. Tymczasem właśnie to wychowanie i wykształcenie domowe odbywa się u nas po większej części albo wedle tradycij dawniejszych, które wkorzeniwszy się w umysł młody, nietylko że nie usposobią go do pojęcia czasu swego, ale owszem w przyszłym zawodzie co chwila zawadą mu będą; albo też bez planu, bez celu, jedynie z przypadku. Jeszczeż młodzież męska, uczęszczająca do szkół publicznych, w naukach musi się przecie jakiegoś planu trzymać, a w życiu koleżeńskiem, w szkole i za szkołą, pozbyć się musi owych nawyczek zdań i narowów pańskich, wyniesionych z domu rodzicielskiego. Ależ młodzież pobierająca i wychowanie i nauki w domu, to jak te drzewa zostawione na zrębie na nasienie. Zdaje się, że dla tego w domu się chowa, aby daleka od wszystkiej innej młodzieży wyrość mogła w nawyknieniach i przesądach szlacheckich, i tym sposobem nie dała zaginąć typom i przekonaniom przeszłowiecznym. A jestto młodzież po większej części najmajętniejsza, która kiedyś przyjdzie do posiadania wielkich środków, i ztąd wiele zrobićby mogła dla narodu. Owoż właśnie pismem tem chcielibyśmy wpływać na wychowanie domowe tej młodzieży, a że niem po większej części kierują kobiety, więc do matek naszych przemówićby trzeba. Nasze kobiety są tak ofiar, poświęcenia zdolne, więc jeźli ich zdołamy przekonać, że dla sprawy powszechnej potrzebaby ofiarę zrobić z swych najmilszych nawyknień, ze zdań, które nam w życiu tak czasem dogodne są, z przesądów, których nie spostrzegamy dla tego, żeśmy w nich wzrośli, więc i tę najtrudniejszą ze wszystkich ofiar poniosą chętnie. Wszystkich zaś zajmujących się wychowaniem, radzibyśmy wciągnąć w tę sprawę, by udzielali pismu naszemu swych uwag o potrzebach, o wadach wychowania i nauki domowej. Nie zawadziłoby czasem i opisać szczegółowo niektóre wypadki wychowania; byłby to może najtrafniejszy sposób przekonania osób niektórych. Sami spróbujemy tę stałą odtąd rubrykę w dzienniku rozpocząć w następujących numerach od kilku szczegółowych uwag.

Wydawca TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.